

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

21

Rozległ się śmiech i w całej okazałości zabłysły brzydkie, czarne, rzadkie zęby Kornelii.

— Skąd?! Mój Boże!... To przecież mój kolega! Obserwowałam go przez kilka lat... Zuamy się trochę!... Być może jednak, że zmienił się... Nie mam wcale zamiaru zniechęcać cię do niego.

Przeskoczyła prędko na inny temat i, rozglądając się po pokoju, mówiła:

— Wiesz, wcale przyjemne masz mieszkanko, chociaż skromne... Duzo słońca, dużo kwiatów... Ach! Jakie piękne te astry różowe i blade liliowe... Prześliczna kombinacja tonów...

— To gust pana Rzyckiego, bo on przyniósł mi te kwiaty. — odpowiedziała trochę sucho Hela, nie mogąc się jeszcze otrząsnąć z niemilego wrażenia...

— Ach! Tak, przypominam sobie... On bardzo lubi kwiaty i umie je dobierać... A te gwoździki ciemno ponsowe, prawie czarne, czy także od niego?

— Tak! — brzmiała krótka odpowiedź.

— Bardzo piękne kwiaty... — i Kornelia, znowu zmieniając temat rozmowy, rzuciła nagle:

— Zmieniłaś się, Helko!

— O ile?... Z pewnością zdrowiej wyglądam?... —

— I to także, ale nie tylko to... Zmieniłaś się tak jakoś, jakby od wewnątrz...

— Zaje ci się... Jestem taka sama, jak byłam. — odparła Hela, prędko odwracając głowę.

Skończyły jeść. Zaledwie młoda gospośka zdążyła sprzątnąć ze stoła talerze, łyżki i widelce, kiedy dało się słyszeć delikatne, megłosne pukanie do drzwi.

— Proszę...

Ludwik Rzycki w jasnym, cywilnym ubraniu, z kapeluszem w ręce przestąpił próg.

— Dzień dobry pani! O! Kogoż widzę?!... Panna Kornelia!...

Z głośnym, zanoszącym się śmiechem Witowtówna podbiegła ku niemu z wyciągniętą na powitanie ręką.

— H! ha! ha! A to pan zdziwioną zrobił mnie?... Nie spodziewał się pan zobaczyć mnie, prawda?... Ja lubię takie niespodzianki, spadam zawsze jak grom z jasnego nieba!... O! Wiem, co pan myśli! Mówi pan sobie w duchu: Mogłaby spokojnie zostać w domu, a przysłać w zastępstwie jakąś ładniejszą koleżankę... Ale to już wina Heli! Poco mnie tak usilnie zapraszała?!...

— — — — —

Jakoś nie kleiła się rozmowa we troje.

Ludwik czuł się zmieszany i skrępowany, bo uporczywie przypominały mu się przypuszczenia matki, w których prawdziwość zaczynał teraz wierzyć.

Tem więcej nie na rękę było mu to, że Kornelia, niby żartobliwie, wspominała ciągle o różnych jego krakowskich flirtach i miłościach.

Taka rozmowa w obecności Heli nie przypadła mu wcale do gustu, to też zabawił niecałe pół godziny i oświadczywszy, że nie chce paniom przeszkadzać w pufnej pogawędce, wyszedł.

Kiedy zegnął się z Witowtówną, uczuł, że ręka brzydkiej panny zdrząła silnie w jego dość lekkim, chłodnym uścisku.

— H! ha! Wy się kochacie! — wykrzyknęła Kornelia bez żadnych wstępów, kiedy Ludwik zniknął za drzwiami.

— Kornelko! Co ty?! —

— Mów prawdę! Nie wykręcaj się!... Kochasz go i on ciebie kocha! Co?!...

Całe ciało Witowtówny dygotało jak w febrze. Duzo niższa od Heli, głowę podnosiła do góry i rozognionem jakimś, na pół przytomnem spojrzeniem przeszywała pobladłą twarz koleżanki.

— Kornelko, na miłość Boską, co się z tobą dzieje?!...

— Nie pytaj, tylko odpowiadaj!... Nie ustąpię!

— Czyś ty zwaryowała?!...

— Nie, nie zwaryowałam!... Kocha cię?!... Mów!

— Czego ty chcesz odemnie? — broniła się Hela, cofając się zmieszana i drżąca.

Nie rozumiała tego wybuchu, który tak niespodzianie a brutalnie zrywał zasłonę z jej tajemnicy, zazdrośnie strzeżonej nie tylko przed nim, nie tylko przed oczyma, ale nawet przed samą sobą.

Czasem tylko, wśród długich dumań podczas jakiejś bezsennej nocy, nieśmiało, z lękiem i waha-

nem zaczynała szeptać sobie o tem, co teraz Kornelia, jakby obelgę w twarz jej rzucała.

Czasem tylko, kiedy wszyscy wokół spali, a przez otwarte okno napływała do skromnego mieszkanka nauczycielki fala wonnego powietrza i zaglądał rozmarzony srebrzysty księżyc, czuła Hela, że serce jej, które zmartwiało sądziła, budzi się słodkimi a niepokojącym uczuciem.

Wówczas to schodziły na nią niepokoje i marzenia, które przybierały na się postać Ludwika, śmiały się jego uśmiechem, spoglądały jego serdecznie, modre oczy i jego dźwięcznym, przedziwnie njującym głosem szemrały: „kocham, kocham“...

Podczas dnia, w deptaku pracy, wśród drobnych kłopotów codziennego życia, usiłowała nie myśleć o tem. Cieszyła się tylko, kiedy go widziała, była zadowolona, że może z nim rozmawiać i sprzeczać się potrosze, lubia długie z nim spacerować i kwiaty, które jej przynosił.

A teraz taka nagła jasność. Obca ręka sięgnęła brutalnie do głębi jej serca i zatargła niem.

Jakiem prawem? Dlaczego?! —

— Czego ty chcesz odemnie?! — powtórzyła Hela, ale już z odcieniem gniewnego buntu w głosie.

— Chcę wiedzieć, czy on ci już powiedział, że cię kocha?! —

— Nie jeszcze... — wyrwało się Heli zupełnie mimowolnie.

Kornelia chwyciła się nagle ręką za gardło, jakby tam ból jakiś, albo dławienie uczuła.

— Nie jeszcze... — powtórzyła głuchym, zmienionym głosem — Ale jesteś pewna, że zrobi to, prawda?!...

— A gdyby tak było, to co? — rzuciła panna Lidzińska zupełnie już zbuntowana i rozgniewana — Nie rozumiem, o co ci właściwie chodzi?... —

— O co mi chodzi?!... O co?!... Ooo!...

Chrapliwy, przeciągły, nieartykułowany jakiś dźwięk, niby skowyt bitego psa, wstrząsnął powietrzem...

Witowtówna paznokcie wbiła w krawędź stołu, aby nie upaść...

Kunstowna maska, wypracowana i noszona przez tyle lat cierpienia i upokorzeń, opadła z niej, szarpnięta przemożną dionią bólu, rozpacz, zazdrości.

Kornelia nieraz widywała Ludwika w towarzystwie ładnych panien i ponętnych, zalotnych mężatek, które podobały mu się, często w roli powiernicy cierpliwiej słuchała opowiadań o flirtach, miłościach i różnych „flimach“ kolegów — niezliczone razy szalała z zazdrości i nieraz półzłym wieczorem skradała się ciemnymi przecznicami, aby śledzić kroki Rzyckiego.

A jednak zawsze wtedy umiała nakazać sobie spokojne spojrzenie, wesoły uśmiech i swobodne, a nawet dowcipne słowa.

Ale dzisiaj... ale teraz...

Ten wzrok pełen głębokiego zachwytu i dziwnej tkliwości, jakiej jeszcze nigdy nie widziała u wesołego zawsze i aż nadto pewnego siebie młodzieńca.

Nie! On się na żadną kobietę nie patrzył tak jeszcze!...

To nie było chwilowe upojenie, przelotny zawrót głowy, to było coś innego!... To była miłość!... Prawdziwa miłość!...

Kornelia intuicyjną zakochanej kobiety wyczuła to na pierwszy rzut oka, usłyszała w pierwszych słowach, jakie w jej obecności Ludwik przemówił do Heli.

Z interesowała go odrazu wtedy na ulicy, a potem to spotkanie na Błoniach i ten list Heli i te kwiaty.

Czyż trzeba więcej dowodów?! Nie! Te, które istnieją, mówią aż nadto wyraźnie, krzyczą, wołają: On ją kocha! Kocha!

Witowtówna zapomniła w tej chwili o wszystkim, co przecierpiała dawniej. Ziało się jej, że dopiero teraz Hela pograza ją w otchłań beznadziei i rozpacz.

Wszystkie porywy złe, nienawistne, zazdrośne, nagromadzone w jej duszy przez lata udężeń, zerwały się jak burza i skupiły w promieniach oczu.

Oczy te i tak wypukłe, czyniły teraz wrażenie, jakby wyskoczyć miały z orbit. Brzydkie, straszliwe, tragiczne, patrzyły na Heli, przeszywały ją spojrzeniem — jak potworki drapieżne zatapiały szpony w sercu pięknej dziewczyny.

I mówiły... mówiły...

— Więc ty... ty... taka bogata w piękność i wdzięki... wydzierasz skarb jedyny... mnie, że bratce... nędzarce życia?!... Głosisz ostatnią isierkę szalonej nadziei... zabierasz cię!... O ty, ty! Jak ja cię nienawidzę!... Wyszarpiałabym te czarne

oczy twoje, które mi go uwikłała!...

Ale zlituj się nademną... Czy nie widzisz, ty piękna... ty szczęśliwa... co się ze mną dzieje...

A Hela stała biała i nieruchoma. Zrozumiała... zrozumiała niemą wymowę tych oczu, rozszalałych w bólu i tej twarzy skurczonej, wykrzywionej tragicznie a potwornie.

Nieszczęście nie zdobi nikogo, ale Witowtówna w tej swojej chwili najwyższej rozpacz była brzydka straszliwie, jak jakieś potworne sennie widzenie.. zrodzone w mózgu, który pożera gorączka...

Od tej brzydkiej, wykrzywionej twarzy sztyderskim jakby kontrastem odbijało blade złoto jej przesłanych włosów, rozskrzynionych promieniami słońca.

Hela przeraziła się śmiertelnie. Oto zdało się jej, że lada chwila pękną przekrwione gałki oczne Kornelii i żyły na jej czole nabrzmiałe, że tryśnie z nich krew czerwona, gorąca i ją. Heli, jak zbrodniarkę obryzga, niezatartem krwawym piętnem naznaczy.

Jeszcze mgnienia oka, a ta gnąca się w bólu kobieta padnie jej u nóg martwa i, jak próg nieprzeznaczony, od szczęścia i spokoju na zawsze odgrodzi!

A Hela nie była z tych, które gotowe są walczyć o nieczystą za wszelką cenę i do szczęścia iść choćby po trupach!

Gdyby to była jakaś inna kobieta, któraby się także mogła podobać, gdyby była Józia uroczą i zalotną, to może... może, pomimo wszystko, podjęłaby walkę!

Nie była przecież aniołem, ani abstrakcyjną formułą szlachetności, lecz człowiekiem z krwi i ciała, kobietą młodą i miłości spragnioną. Ale być rywalką Kornelki, tej biednej, nieszczęśliwej Kornelki! Jak bardzo nieszczęśliwej, to dopiero teraz pojęła Hela.

Zgnębić ją, zdeptać! Może zabić... na zawsze unieść z sobą wspomnienie tych tragicznych oczu, dźwigać na sobie ciężar wiecznego, krwawego wyrzutu sumienia! Nie, nigdy! Niech raczej!...

Wilgotną mgłą zasnuły się oczy Heli i serce ścisnęło się dziwnie bolesnym skurczem...

Długą chwilę zmagala się sama ze sobą. Wreszcie... z wyciągniętą ręką podbiegła ku Witowtównie.

Była bardzo biała, ale jaśniała jakimś niezwykłym wewnętrznym światłem.

Odniosła najtrudniejsze zwycięstwo, bo nad własnym, jak u każdego człowieka, potężnym egoizmem — wyrzekła wyrok na swe młode serce... Powiedziała mu „Młczy!... —

— Kornelko... posłuchaj! Nie patrz na mnie tak strasznie! Wierzaj mi, ja nigdy, nigdy!... Przysięgam ci!...

Dźwięk głosu Heli i jej słowa, ciche a mocne, zbudziły Kornelię z odrętwienia i rozpacz, oparły ją w jej szale zazdrości.

Cofnęła się, spojrzała na koleżankę i nagle zakryła twarz rękami.

Teraz dopiero uświadomiła sobie, że zawiodła ją wola, w ogniu tyloletnich doświadczeń hart wana, że zdradziła się, że w głąb swego zbolętego, dręczonego serca dozwoliła zajrzeć kobiecie... pięknej kobiecie... rywalce...

Rumieniec palącego wstydu oblał ją...

— Kornelko... Kornelko...

Hela odrywała koleżance ręce od twarzy. Kornelia nie bronila się wcale, ręce wzdłuż sukni opuściła, głowę podniosła i z uśmiechem na bladych ustach na towarzyszkę swoją spojrzała.

Wyglądziły się już jej rysy...

Kobieta tragiczna, straszna, zrozpaczona, ustąpiła miejsca dawnej, uśmiechającej Kornelce Witowtównie.

— Przestraszyłaś się pewnie, Heli — zaczęła głosem, który lekko drżał jeszcze — Myślałaś pewnie, że, Bóg wie, co, a to był po prostu atak nerwowy. Jestem przepracowana, zdenerwowana. Lito było upalne... robotę miałam wściekłą... no i wojna... Widzisz, co to wojna może. Ja zaczynam chorować na nerwy!... No, ale na kurację hydropatyczną nie mam czasu, ani pieniędzy, więc muszę się jakoś inaczej wyleczyć i to prędko... Inaczej gotowam się jeszcze stać histeryczką. Tegoby mi tylko brakowało do garnituru!...

Rzuciła się po dawnemu, ale Heli nie zdołała oszukać.

Panna Lidzińska wiedziała już, co myśleć o tej mistrzowskiej komedii wesołości i swobody.

— Cóż ty się tak patrzysz, jakbyś mnie pierwszy raz widziała? Przecież nie wypiękniałam nagle, tak, jak to się dzieje w czarodziejskich bajkach dla dzieci!... Aha! Prawda, ty jesteś wrażliwa i pewnie sobie wzięłaś do serca mojego bzika... E, nie zawracaj sobie głowy, bo niema czem. Sładajże i pogawędzimy.